TOMASZ CEGNOWSKI

KOD PIXEL

TECHNOLOGIA PCHA NAS DO PRZODU. CZASAMI ZA DALEKO

ORYGINALNA HISTORIA GODNA EKRANIZACJI

KOD PIXELI

Tomasz Cechowski

Mojej wspaniałej żonie Gosi, która zawsze we mnie wierzy, cudownej córeczce Amelce, która obdarza nas miłością każdego dnia, i synkowi Juliankowi, na którego z radością czekamy.

Jesteście najpiękniejszą opowieścią mojego życia.

Przedmowa

Czym jest obraz wyświetlany na ekranie? To zbiór niepozornych punktów światła, zwanych pikselami. Każdy piksel jest niczym maleńka iskra posiadająca odpowiednio dobrany kolor, intensywność i właściwe umiejscowienie w cyfrowej przestrzeni.

Gdy te migoczące cząstki układają się w harmonijną całość, rodzą się obrazy, które mogą wyłonić dosłownie wszystko. Od prostych, abstrakcyjnych form po złożone, niemal żywe wizje.

W tej wirtualnej rzeczywistości każdy obraz jest niczym tajemnicza konfiguracja gwiazd. Każdy odpowiednio ułożony układ pikseli skrywa swoją własną, niepowtarzalną galaktykę czekającą na swoje odkrycie.

Prolog

Mia wyszła z kawiarni, czując na policzkach delikatne ciepło letniego dnia. To była jedna z tych chwil, kiedy wszystko zdawało się idealnie ze sobą współgrać. W dłoni trzymała papierowy kubek z mrożoną herbatą, a jej krok był tak lekki, jakby unosiła się tuż nad chodnikiem. Słońce powoli chyliło się ku horyzontowi, a świat otulało miękkie światło, barwiące wszystko na złoto. Uwielbiała takie momenty jak ten – krótkie przystanki w codziennym pędzie, gdy mogła przymknąć oczy i nacieszyć się ostatnimi promieniami przemijającego dnia.

Przystanęła na skraju chodnika. Ulica przecinała rozległe przedmieścia Chicago. Wokół panował spokój, a domy z zadbanymi trawnikami i nieliczne samochody na podjazdach dopełniały sielskiego obrazu. Oparła się o metalową barierkę oddzielającą chodnik od niewielkiego pasa zieleni.

Spojrzała na niedawno zakupiony elektroniczny pierścień, który miała na jednym z palców. Srebrny, gładki, minimalistyczny. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak zwykła biżuteria, ale dla niej znaczył coś więcej. Był jej cichym strażnikiem, dyskretnie monitorującym puls, poziom stresu i jakość snu. Nie polegała jednak wyłącznie na technologii. Każdego dnia starała się dbać o siebie, stosując konsekwentnie szereg zabiegów budujących jej zdrowie i wyjątkową witalność. Pierścień towarzyszył jej w tej drodze, przypominając, że sukces rodzi się z codziennych, drobnych, świadomych wyborów. Czuła dumę, głęboko wierząc w to, że one wszystkie stopniowo prowadzą do długiego życia pełnego zdrowia i równowagi.

Podniosła kubek do ust, gdy coś przyciągnęło jej uwagę. Najpierw był to dźwięk – niski, narastający, który wydawał się rozchodzić po niebie. Mia przekręciła głowę w bok, po czym spojrzała nieco wyżej. Niebo, wciąż jasne i przesiąknięte bladym odcieniem błękitu, miało na horyzoncie ciepłe pomarańczowe wzory, zwiastujące zbliżający się zmierzch. Na tym tle coś poruszało się szybko, zostawiając za sobą wyraźną smugę.

– Rakieta! – zawołał ktoś, wskazując niebo. – Zobaczcie, tam na niebie!

Ludzie zaczęli podnosić wzrok, przerywać rozmowy, patrzeć w kierunku lecącego obiektu. Niektórzy w pośpiechu wyciągali telefony, próbując nagrać wydarzenie, inni stali bez ruchu. Mia zmrużyła oczy, próbując dostrzec więcej szczegółów.

Coś było nie tak. Obiekt wcale nie wyglądał, jakby wznosił się w górę. Jego trajektoria zaczęła się wyraźnie załamywać, a dźwięk narastał, jakby zbliżał się prosto w ich stronę. Z każdą sekundą był coraz bliżej, aż w końcu przeszył powietrze nad ich głowami.

Mia instynktownie się uchyliła, a wokół niej rozległy się krzyki. Ludzie cofali się, zdezorientowani i zaniepokojeni. Ognista smuga za obiektem ciągnęła się w stronę downtown, zostawiając za sobą ciemny warkocz.

– To... nie rakieta – powiedział mężczyzna niemal bez tchu. Jego słowa, wypowiedziane z lodowatą pewnością, zdawały się zawisnąć w powietrzu. – To pocisk...

Obiekt zmierzał prosto w stronę centrum miasta. Jego ognista smuga niemal zniknęła na horyzoncie, tam gdzie wznosiły się wieżowce odległej metropolii. Przez chwilę wszystko zdawało się zatrzymać. Mia poczuła, jak kubek robi się coraz bardziej lodowaty.

Po chwili nastąpił błysk. Nie był to zwykły rozbłysk, jak ten, który widzi się podczas burzy czy wybuchu fajerwerków. To było coś więcej. Coś znacznie mocniejszego. Światło pojawiło się nagle i było tak jasne, że wypełniało całe pole widzenia. Nie było miejsca na jakikolwiek cień. Wszystko zniknęło w oszałamiającym, palącym bielą rozbłysku. Kobieta odruchowo zakryła oczy ramieniem, podobnie jak reszta gapiów, lecz nic to nie dało. Światło przenikało przez powieki, przez skórę, przez każdy element ciała.

Gdy oślepiający blask powoli znikał, opuściła dłonie zasłaniające oczy i zobaczyła, jak świat wokół niej zaczyna się zmieniać. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą wznosiły się wieżowce Chicago, teraz unosił się gigantyczny grzyb dymu i ognia. Był nienaturalny, groteskowy i jednocześnie przerażająco

piękny. Czarna chmura rosła, pochłaniając niebo, a jej podstawę rozświetlały czerwone i pomarańczowe błyski.

Cisza trwała zaledwie moment, po czym rozległ się ogłuszający huk. Potężny, głęboki dźwięk wstrząsnął ziemią, zmuszając Mię do upadku na kolana. To nie był zwyczajny odgłos – była to fala, która przeniknęła przez jej ciało, wstrząsając każdą kością. Gdy osunęła się na asfalt, poczuła, jak szorstka nawierzchnia rani jej dłonie. Powietrze wokół pulsowało, wibrując od siły uderzenia.

Z pobliskich budynków z impetem wypadły szyby, rozpryskując się na wszystkie strony, raniąc przy tym zebranych ludzi. Chwilę później uderzył podmuch. Niszczycielska fala wiatru, która z furkotem niosła gruz, odłamki szkła i pył. Powietrze zdawało się ryczeć, gdy huraganowy wiatr zmiatał wszystko ze swojej drogi. Budynki w oddali zaczęły się rozpadać jak domki z kart, a ich fasady wystrzeliwały w powietrze. Samochody unosiły się, wirując jak dziecięce zabawki, roztrzaskując się w końcu z hukiem. Ludzie krzyczeli, ale ich głosy ginęły w narastającym wciąż chaosie.

Przyciśnięta do ziemi przez potężną siłę, desperacko szukała oparcia. Z ogromnym wysiłkiem, zdołała uchwycić się metalowego stojaka na rowery. Ten, solidnie zakotwiczony w betonowym chodniku, w jednym momencie stał się jej jedynym punktem ocalenia. Palce zacisnęły się na zimnym metalu, gdy próbowała utrzymać się mimo siły, która próbowała ją oderwać. Wiatr niemal unosił jej ciało w powietrzu. Wokół wszystko wirowało, a każda sekunda zdawała się wiecznością.

Gdy wiatr podmuchowy zaczął słabnąć, kobieta poczuła, jak powietrze wokół niej zaczyna się zmieniać. Najpierw ciepło było jedynie nieprzyjemne, duszne, jak w parny letni dzień, ale niemal natychmiast stało się jasne, że to nie koniec. Temperatura rosła w zatrważającym tempie, a żar wypełniał każdy zakamarek przestrzeni, otaczając ją jak niewidzialny płaszcz ognia.

Skóra zaczęła ją piec, najpierw delikatnie, jak przy silnym słońcu, ale już po chwili uczucie nasiliło się, jakby znajdowała się zbyt blisko ogniska. Gorące powietrze utrudniało oddychanie, piekąc jej gardło i płuca. Wokół zaczęły unosić się zapachy.

Najpierw spalonego plastiku i drewna, ale potem coś bardziej przerażającego: metaliczna woń przypominająca spalone mięso.

Krzyki, które początkowo wydawały się odległe, stawały się coraz głośniejsze, przeraźliwe i pełne bólu. Niektórzy ludzie próbowali biec, ale upadali, powaleni przez wezbrany gorąc. Ubrania na nich zaczynały dymić, potem zajmowały się ogniem, a ich skóra nabierała przerażającej czerwieni, przechodzącej w głęboki, bolesny popiół.

Potem zrobiło się jeszcze goręcej. Mia poczuła, jak powietrze wokół niej zamienia się w piekło. Żar atakował każdą część jej ciała, niemal parząc od wewnątrz. Mia desperacko przyciśnięta do ziemi, czuła, jak każdy oddech wdziera się do jej płuc niczym rozpalona smoła. Ludzie wokół wpadali w panikę – jedni płonęli w miejscu, inni biegali bez celu, ich poparzone twarze wiły się wykrzywione w grymasie bólu. Chaos, wrzask i piekielny żar splatały się w jeden przerażający obraz końca.

Próbowała się czołgać, ale asfalt pod jej dłońmi był tak rozgrzany, że przypominał wrzącą lawę, parzącą jej skórę. Pęcherze coraz gęściej pokrywały jej drobne ciało. Czarna chmura, niczym upiorny najeźdźca, wznosiła się ku niebu, zasłaniając je całkowicie, a na ziemię zaczęły opadać cząsteczki popiołu – resztki tego, co jeszcze przed chwilą było miastem. Zasłona dymu i pyłu dodatkowo napierała na jej ledwo żywe płuca.

Urządzenie na jej palcu przeraźliwie mrugało, wydając mechaniczny, niemal ironiczny dźwięk, jakby alarmowało, by wróciła na drogę fizycznego sukcesu. Jej ciało jednak było zbyt słabe, by nadal walczyć. Czuła, jak płuca wypełniają się gorącym, toksycznym powietrzem.

– Pomocy... – wyszeptała, a jej głos, cichy i drżący, szybko zaginął w przytłaczającej ciszy spowijającej okolicę. Wokół niej był tylko popiół, ogień i dym.

Chicago już nie istniało, a jej świat właśnie legł w gruzach. Pierścień na jej palcu piknął po raz ostatni, jak cichy strażnik gasnącego życia, sygnalizując zatrzymanie akcji serca.

Potem nastała cisza.

Część I – Idea

Rozdział 1

DWA LATA WCZEŚNIEJ

Piksel. Samotny, migający punkt na ekranie, przyciągający wzrok swoją uporczywą, niemal hipnotyczną obecnością. Był jak samotna gwiazda na bezkresnym, cyfrowym niebie. Mały, ale pełen potencjału, jakby skrywający w sobie zatopioną tajemnicę. Przez moment trwał w zawieszeniu, jakby badał otaczającą go pustkę, a potem, jak za sprawą niewidzialnej siły, obok niego pojawił się kolejny. Ich ruchy były delikatne, ledwie dostrzegalne, ale wyraźnie współgrające ze sobą. Punkty zbliżyły się do siebie, migając w perfekcyjnej harmonii, niczym dwa idealnie zsynchronizowane oddechy, gotowe, by wspólnie utworzyć coś większego.

Z czasem dołączyły do nich kolejne piksele, tworząc migoczący zbiór punktów. Powoli, niemal niedostrzegalnie, zaczynały układać się w kształt prostokąta. Kilkanaście pulsujących w harmonii punktów tworzyło kursor – symbol nieustającej pracy, zapowiedź czegoś większego, co miało dopiero powstać. Mały migoczący sześcian poruszał się z niemal organiczną precyzją, zostawiając za sobą trwały ślad – pierwsze litery, cyfry i symbole zaczęły wypełniać ekran.

Kursor z gracją przesuwał się do przodu. Linijki kodu układały się w komendy, a te stopniowo budowały większą strukturę. Z bałaganu wyłaniał się porządek, a kod, niczym helisa DNA, stawał się coraz bardziej precyzyjny i uporządkowany, tworząc jedną, spójną całość. Ekran jarzył się delikatnym światłem, blado oświetlając otoczenie. Powoli, niczym cienie budzące się o zmroku, wyłaniały się kontury monitora i biurka. Z mroku zaczęło też rysować się ciemne pomieszczenie, a w jego centrum sylwetka człowieka pochylonego nad swoim cyfrowym dziełem. Był całkowicie pochłonięty procesem tworzenia.

Miał ciemne, lekko potargane włosy z pierwszymi pasmami siwizny na skroniach. Ciemnobrązowe oczy, podkrążone ze zmęczenia, odbijały zimne światło ekranu. Twarz o wyraźnie zarysowanej szczęce i wysokim czole, kilkudniowy zarost, smukła, utrzymana w formie sylwetka. Ręce poruszały się po klawiaturze szybko i pewnie. Skupienie nie słabło – praca była ostatnią kotwicą, która trzymała go na powierzchni rozszalałego oceanu wspomnień.

Alex Smith siedział samotnie w ciemnym pokoju. Słychać było tylko szum wentylatora i cichy stuk jego palców. Za oknem padał deszcz – rzadkość w zwykle słonecznym San Diego. Krople uderzały o szybę, wprowadzając do wnętrza nastrój melancholii.

Zaniedbane mieszkanie nosiło ślady tygodni spędzonych w izolacji. Brudne naczynia, kurz na półkach, porozrzucane rzeczy. Na ścianie wisiały fotografie: Alex, jego żona Emily i ich syn Ethan. Uśmiechy z tych zdjęć boleśnie kontrastowały z tym, co zostało teraz.

Kursor przeskakiwał po ekranie, pojawiały się kolejne partie kodu. Każdy błąd natychmiast znikał. Alex sączył zimną już kawę, uparcie trzymając się zadania.

Błąd. Znowu. Migający kursor jakby domagał się dalszych poleceń.

Alex skasował linijkę i zaczął pisać od nowa. Na twarzy pojawiła się frustracja, ale nie odpuścił. Determinacja w dążeniu do perfekcji wyniosła go na szczyt branży IT.

Jego droga zaczęła się na farmie w Ashland, w stanie Oregon. Po latach nauki i pracy w końcu trafił do Kalifornii – daleko od korzeni, lecz blisko marzeń. Teraz siedział samotnie w małym mieszkaniu w San Diego. Program wreszcie działał, lecz wciąż nie tak, jak chciał. Za wolno. Zbyt topornie.

Uderzył pięścią w blat i opadł na skrzypiący fotel. Myślami wrócił do Ethana, którego pytania i dziecięca logika nieraz prowadziły go do właściwych rozwiązań. Teraz Ethan nie mógł zadać już żadnego pytania. Wypadek zabrał mu syna. Emily odeszła, obwiniając go za śmierć dziecka. Wszystko runęło w jednej chwili. Została tylko praca.

W końcu podniósł się z krzesła i, stawiając ciężkie kroki, poszedł w stronę łazienki. Gorąca woda spływała po jego ciele, tworząc parę, która na moment zacierała ostrość myśli. Krople spływały po ramionach i plecach, jakby próbowały zmyć z niego przeszłość. Nie potrafiły.

Wrócił do pokoju owinięty ręcznikiem. Jego uwagę przyciągnęło ciemne okno. Za szybą migotały światła miasta, po szkle leniwie spływały strużki deszczu. Patrzył, jak pojedyncze krople łączą się w większe, tworząc skomplikowane wzory.

Przypomniał sobie dzieciństwo. Mały chłopiec na farmie w Ashland, siedzący w deszczowe dni przy oknie. Śledził krople na szybie, liczył je, zgadywał, dokąd popłyną. Dostrzegał w tym porządek ukryty w chaosie. Zrozumiał wtedy, że świat jest pełen wzorców, jeśli tylko ma się cierpliwość, by je zauważyć.

Matematyka szybko stała się jego językiem. Krople na szybie, liście spadające z drzew, rytm pór roku – wszystko układało się w schematy, które chciał rozgryźć. Te obserwacje zaprowadziły go drogą, którą szedł do dziś – choć czasem zastanawiał się, czy po drodze nie zgubił tamtego chłopca patrzącego na świat z zachwytem.

Strugi deszczu na szybie nie budziły już w nim dziecięcej ciekawości. Teraz widział w nich raczej swoje życie – nurt, który raz łączy, raz rozdziela, prowadząc w nieznane.

Myślami wrócił do rodzinnej farmy. Zapach ziemi po deszczu, szelest liści, ciepło domu.

Jego ojciec, John, był człowiekiem pracy. Każdego dnia doglądał pola, a spracowane dłonie mówiły więcej niż słowa. Często powtarzał: *„Praca uszlachetnia i prowadzi do spełnienia marzeń.”* Te słowa wyjątkowo wcześnie wbiły się Alexowi w pamięć.

Matka, Grace, córka polskich imigrantów, wnosiła do domu ciepło i prostą mądrość: szacunek, uczciwość, wdzięczność za każdy dzień. Dbała o dom i o to, by syn miał dostęp do książek. Często mówiła:

– Edukacja jest kluczem do lepszego życia.

Na farmie Alex spędzał godziny na dworze – biegał po polach, wspinał się na drzewa, pomagał przy kurach i żniwach. Gdy padało, siadał przy oknie i znów obserwował deszcz. W jego głowie zaczynały się pojawiać liczby i wzory. Matka szybko to zauważyła i zaczęła uczyć go podstaw matematyki. Szybko stała się jego ulubionym przedmiotem.

W szkole Alex wyróżniał się od początku. Lubił rozwiązywać zadania, startować w konkursach, sięgać po więcej. Nauczyciele widzieli w nim potencjał.

Za świetne wyniki dostał pierwszy komputer – ośmiobitowy Atari 800XL. To był punkt zwrotny. Ciężka obudowa, joystick, klawisze, a potem ten pierwszy, migający na ekranie kursor i charakterystyczne dźwięki. Poczuł ekscytację, która szybko zamieniła się w pasję.

Komputer stał się bramą do nowego świata. Siedział godzinami przy monitorze, stawiając pierwsze linijki kodu w BASIC-u. Każde wyświetlone słowo, każda prosta gra, nawet najprostszy efekt na ekranie – wszystko dawało mu ogromną satysfakcję.

Na biurku piętrzyły się książki, wydruki kodów, notatki. Alex coraz lepiej rozumiał programowanie. Gdy trafiał na błąd, nie odpuszczał. Zarywał noce, byle tylko znaleźć rozwiązanie.

Ojciec nie rozumiał komputerów, ale widział błysk w oczach syna. Przynosił mu kanapki i herbatę, patrząc z dumą na rosnące stosy notatek. Któregoś dnia Alex westchnął ciężko:

– Tato, ten komputer jest stary i za wolny. Gdybym miał coś nowszego, mógłbym robić o wiele więcej.

John spojrzał na niego poważnie.

– Rozumiem, Alex, ale nie mamy teraz pieniędzy. Wykorzystaj to, co masz, najlepiej jak potrafisz. Ograniczenia uczą kombinowania. To, czego się nauczysz teraz, zaprocentuje.

Te słowa okazały się lekcją na całe życie. Alex zaczął optymalizować kod, pisać wydajniejsze algorytmy oraz wyciskać z Atari ile się da. Później właśnie te umiejętności wyróżniły go na tle innych.

Z czasem zaczął marzyć o czymś większym. Chciał tworzyć rzeczy, które naprawdę coś zmienią. Atari stało się dla niego

symbolem determinacji i wytrwałości. Jego ambicja przyniosła mu stypendium i szansę studiowania w Londynie.

Lot na Heathrow był jak wejście do innego świata. Tłumy ludzi, zgiełk, ogromne budynki. Zamieszkał w małym pokoju w akademiku, który dzielił z trzema studentami z różnych stron świata. Akcenty, języki, zwyczaje – wszystko było nowe. Miasto przytłaczało, ale też fascynowało.

Na uniwersytecie poznał Marka Levinsa. Mark, rodowity londyńczyk, był pełnym energii studentem programowania. Razem chodzili na zajęcia, wieczorami siedzieli nad projektami. To właśnie on wprowadził Alexa w świat startupów i nowych technologii. W przerwach między nauką chodzili do pubów, na koncerty i włóczyli się po mieście. Londyn stał się ich placem zabaw i poligonem doświadczalnym jednocześnie.

Podczas jednej z uczelnianych imprez Alex poznał Emily – studentkę sztuki. Długie kasztanowe włosy, szeroki uśmiech. Na jednej z imprez wpadła przypadkiem na niego, wylewając mu drinka na koszulę. To zdarzenie było przyczynkiem do ich bliższej znajomości. Szybko zaczęli spędzać ze sobą coraz więcej czasu – od małych kafejek i parków po wielkie galerie sztuki.

Emily pokazała mu swój artystyczny świat. Alex nauczył się dostrzegać piękno w prostych rzeczach. Ona z kolei z zaciekawieniem słuchała o technologii. Ich relacja była spotkaniem dwóch różnych światów, które idealnie się uzupełniały.

Na uczelni rozwijał swoje umiejętności. Startował w konkursach programistycznych, hackathonach, zdobywał nagrody. Zyskiwał pewność, że jest dobry w tym, co robi. Stypendium pozwalało mu korzystać z zajęć prowadzonych przez wybitnych specjalistów. Uczył się też samodzielności – radzenia sobie w obcym mieście, wśród ludzi z całego świata.

Pod koniec studiów, z pomocą Marka i Emily, założył pierwszy startup – małą firmę tworzącą aplikacje mobilne. Początki były trudne i pełne nieprzespanych nocy, ale pierwsze zlecenia i sukcesy przyszły szybciej, niż się spodziewał.

Z czasem zyskał pewność, że chce spędzić życie z Emily. Pewnego letniego wieczoru, podczas spaceru nad Tamizą, zatrzymali się na moście. W miękkim świetle latarni, przy

dźwiękach ulicznego muzyka, Alex uklęknął i poprosił ją o rękę. Zgodziła się bez wahania.

Po zaręczynach zaczęli planować wspólną przyszłość. W końcu zdecydowali się opuścić Londyn. Alex zaproponował przeprowadzkę do San Diego. Kalifornia kusiła słońcem, oceanem i dynamicznie rozwijającą się branżą technologiczną.

Przeprowadzka była ogromnym krokiem. Zostawili za sobą przyjaciół i wspomnienia, ale w Kalifornii szybko odnaleźli się na nowo. Alex dostał pracę w dużej firmie technologicznej, Emily zaczęła budować kontakty w środowisku artystycznym. On pracował nad nowatorskimi projektami, ona organizowała wystawy. Razem tworzyli zgraną parę, pełną wsparcia i zrozumienia.

Niedługo później na świat przyszedł Ethan. Najpiękniejszy moment w ich życiu. Chłopiec był ciekawym świata, energicznym dzieckiem. Alex uczył go nowych rzeczy, bawił się z nim, odkrywał świat na nowo. Emily malowała jego portrety. Ich dom był pełen śmiechu i miłości.

Jednak wszystko trwało do czasu.

Gdy Ethan miał niecałe osiem lat, wydarzył się wypadek samochodowy. Zginął na miejscu. Ich świat się rozpadł. Emily nie potrafiła poradzić sobie ze stratą, zaczęła obwiniać Alexa. Jej psychika kruszyła się z dnia na dzień. Pogrążała się w mroku, z którego nie potrafił jej wyprowadzić.

W końcu odeszła. Alex został sam ze wspomnieniami, żalem i winą. Uciekł w pracę. Jego życie w Kalifornii, które kiedyś było pełne światła, zamieniło się w pustą przestrzeń przerywaną tylko stukaniem klawiatury aż do świtu.

Oderwał wzrok od szyby i wrócił do biurka. Ekran wypełniały setki linijek kodu. Przeciągnął dłoń po twarzy, czując szorstkość zarostu. Praca, która kiedyś go pochłaniała, teraz była raczej ciężarem. Każda nowa linijka przypominała mu, że porusza się w miejscu.

Mark Levins… Może powinien do niego zadzwonić. Ta myśl wróciła nagle, jak coś, co człowiek od dawna spychał na bok. Mark – dawny kumpel z Londynu. Teraz szanowany naukowiec, gość,

który zawsze miał łeb do rzeczy, przy których inni się poddawali. Fascynował się technologią jeszcze wtedy, gdy Alex dopiero uczył się pierwszych trików. Teraz kierował jakimś zespołem badawczym w Imperial College, robił wielkie rzeczy. Jeśli ktokolwiek mógł mu pomóc, to właśnie on.

Podniósł z biurka leżący na nim telefon i zaczął pospiesznie przeszukiwać kontakty. W końcu znalazł numer i kliknął, uruchamiając połączenie. Po kilku sygnałach usłyszał znajomy głos, który niemal cofnął go w czasie o wiele lat wstecz.

– Halo? – powiedział z niepewnością w głosie.

– Alex? No żartujesz…

– Cześć, Mark.

– Nie wierzę, ile to minęło… pięć, sześć lat? Co u ciebie? Jak sobie żyjecie? Młody rośnie jak trzeba? – Mark mówił szybko, z autentycznym zaangażowaniem.

Alex na moment ucichł.

– Mark… – zaczął, ale głos ugrzązł mu w gardle. Odchrząknął. – To… to skomplikowane.

Po drugiej stronie zapadła cisza – Mark wyczuł coś nie tak.

– Ok… ale brzmisz, jakbyś nie spał od tygodnia. Co się dzieje?

Alex odetchnął głęboko, jakby szykował się na skok do lodowatej wody.

– Pracuję nad algorytmem, którego nie potrafię ogarnąć. To trochę… pokręcone. Chciałbym zasięgnąć twojej opinii.

– Algorytm? – Mark prychnął półśmiechem. – I ty nie możesz dać rady? To musi być coś wyjątkowo grubego.

Alex milczał.

– Okej, dobra – dodał Mark łagodniej, czując wiszącą w powietrzu niezręczność. – Słuchaj, chcesz, żebym rzucił na to okiem, tak?

– Tak, ale nie na odległość – odpowiedział cicho Alex. – Bez ciebie chyba utknę z tym na dobre.

– No to przyjedź do Londynu, stary. Serio fajnie będzie cię znowu zobaczyć. Mam duże mieszkanie i psa, który rządzi całym

salonem. Pogadamy, popatrzymy na kod, będzie jak za starych dobrych czasów. Zapraszam.

Alex po raz pierwszy od dawna uśmiechnął się, choć słabo.

– Wiesz, raczej wezmę hotel.

– Jasne, zrobisz jak ci wygodnie.

Zapanowała krótka cisza. Słyszał oddech Marka.

– Na uczelni wszystko ok? – zapytał Alex.

– Tak… wiesz, niby tak. – Mark zawahał się. – Ale ostatnio coraz częściej myślę, żeby się stamtąd wyrwać. Nie powiem, praca na uniwersytecie ma swoje zalety. To nie jest korporacyjna zmielarka, ale po tylu latach zaczyna mnie już to trochę nużyć. Westchnął cicho, po czym kontynuował.

– Czasem mam wrażenie, że codziennie odgrywam dzień świstaka. – zaśmiał się krótko, przerywając śmiech lekkim kaszlnięciem.

– Zawsze myślałem, że taki tryb ci odpowiada.

– No jasne, ale im człowiek starszy, tym bardziej ciągnie go do ciszy… do gór, lasu, czegokolwiek spokojnego. Sam nie wiem. Nieważne.

W słuchawce przez chwilę zapadła cisza. Naturalna, ciężka.

– Cholernie dawno się nie odzywałeś. Czas leci jak opętany. Fajnie, że zadzwoniłeś. No i wpadaj stary, naprawdę miło będzie cię zobaczyć.

– Przyjadę – odparł Alex.

– Świetnie. No, i… cieszę się, że zadzwoniłeś.

Po chwili zakończyli rozmowę.

Alex jeszcze chwilę wpatrywał się w wygaszony ekran telefonu, jakby liczył na to, że wyświetli mu gotową odpowiedź na wszystkie pytania. W końcu odłożył telefon na stół i spojrzał na wiszące na ścianie zdjęcia z dzieciństwa.

Usiadł z powrotem przy biurku i przesunął laptop bliżej. Na ekranie otworzył stronę z rezerwacją lotów. Wtedy usłyszał w głowie głos matki, tak wyraźny, jakby stała tuż obok:

„Każda długa podróż zaczyna się od pierwszego kroku. Nie bój się stawiać kolejnych, nawet jeśli nie wiesz, dokąd cię zaprowadzą.”

Powtarzała mu to, gdy był chłopcem i wahał się przed nowym wyzwaniem. Te słowa wróciły teraz, gdy dorosłe życie przyniosło mu ból, którego nigdy się nie spodziewał.

Wziął głęboki oddech i kliknął w ikonę „Kup bilet”.

Pełna wersja książki dostępna na stronie autorskiej www.cechowski.com